

Życie stewardesy

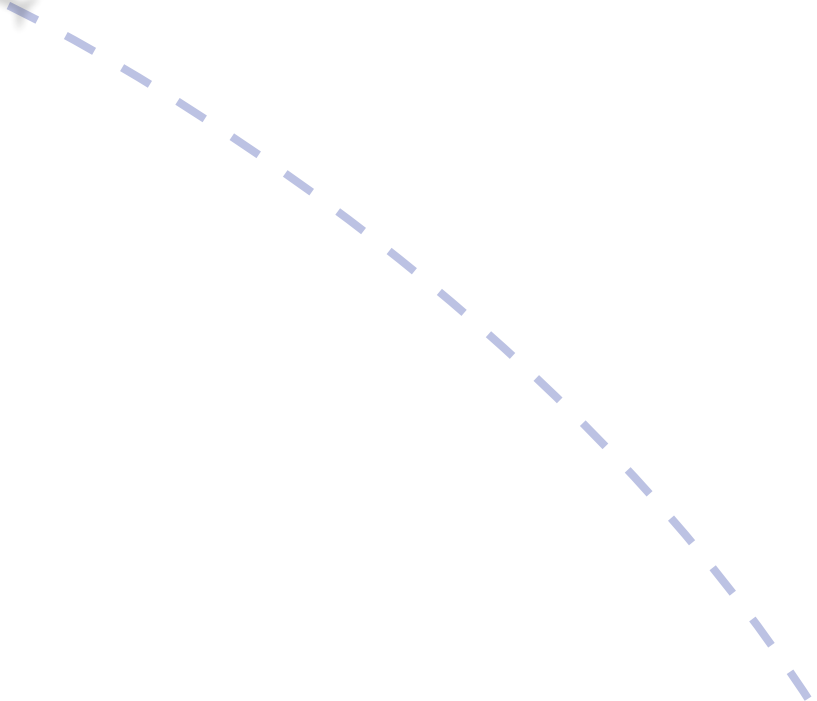
HISTORIA PEWNEJ PRZYJAŹNI



NIEZWYKŁA OPOWIEŚĆ O DWÓCH RÓŻNYCH
Kobietach z DWÓCH RÓŻNYCH ŚWIATÓW

Życie stewardesy

HISTORIA PEWNEJ PRZYJAŹNI



OLGA KUCZYŃSKA

Życie stewardesy

HISTORIA PEWNEJ PRZYJAŹNI


L i R A
WYDAWNICTWO



© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2024
© Copyright by Olga Kuczyńska, 2024

Redakcja: Katarzyna Wójcik
Korekta: Joanna Dzik
Projekt okładki i makiety: Magdalena Wójcik
Skład: Igor Nowaczyk





Zdjęcia i źródła ilustracji na okładce: © archiwum własne,
© Vaayudhwani, © alrika / 123RF, © beritkessler / 123RF, Pixabay
Zdjęcia i źródła ilustracji wewnątrz książki: © archiwum własne,
© nereia / Shutterstock, © aksol / Shutterstock,
© Hanca Project / Shutterstock

Retusz zdjęć: Katarzyna Stachacz
Redakcja techniczna: Kaja Mikoszevska

Wydawca: Marek Jannasz

L I R A
W Y D A W N I C T W O

Lira Publishing Sp. z o.o.
al. J.Ch. Szucha 11 lok. 30, 00-580 Warszawa
www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na:    

Druk: Pozkał



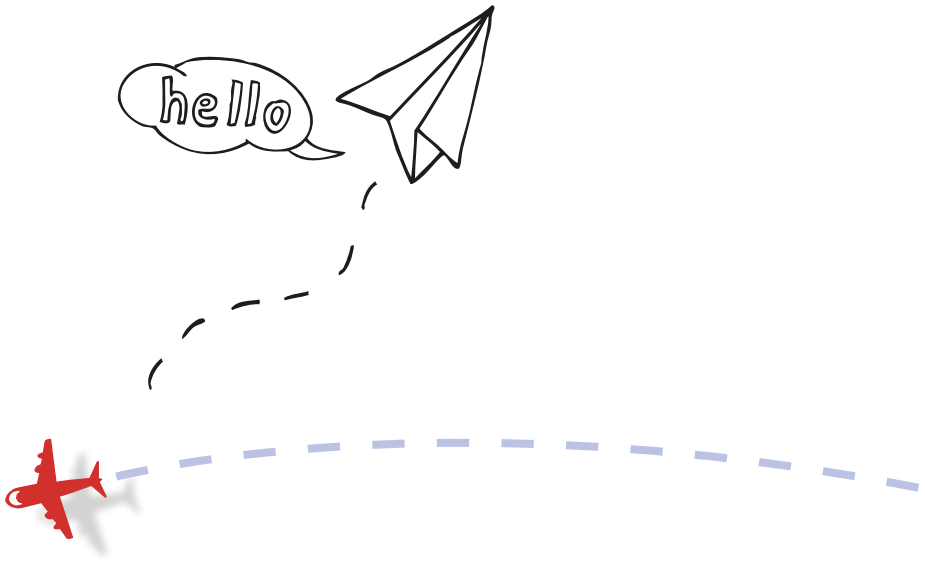


Spis treści



| | |
|------------|-----------------------------|
| 7 | Wstęp |
| 10 | Retrospekcja |
| 18 | Trudne decyzje |
| 29 | Powrót do Polski |
| 38 | Życie to nie bajka |
| 50 | Powrót do rzeczywistości |
| 60 | Sezon wakacyjny |
| 77 | W drodze po swoje |
| 97 | Historia jednego zdjęcia... |
| 126 | Białe róże |
| 132 | Nigdy nie mów żegnaj |
| 136 | Gdyby jutra nie było |
| 159 | Gdy świat stanął na głowie |
| 215 | Czy to już? |
| 221 | Słońce zaświeciło inaczej |







Wstęp

G

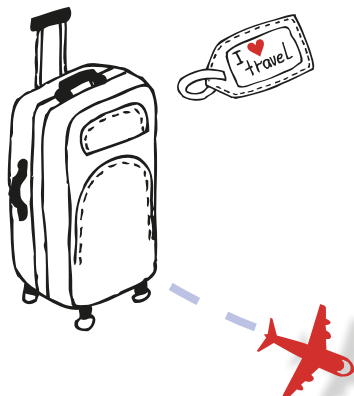
dyby ktoś mi powiedział, jak wiele może się wydarzyć przez trzy lata, z pewnością bym w to nie uwierzyła. Moja praca w liniach lotniczych to nie tylko źródło utrzymania. To styl życia, który mnie zupełnie pochłonął, pozwolił mi zbudować pewność siebie, dał ogromną satysfakcję, nauczył mnie podejmować ryzykowne decyzje niezależnie od tego, co powiedzą inni, oraz godzić się z porażkami. Pomógł mi znaleźć pomysł na siebie, odkryć nowe pasje i radzić sobie w trudnych momentach, niekoniecznie tylko na pokładzie. Latanie i związane z nim przygody zainspirowały mnie do napisania mojej debiutanckiej książki, wydanej w 2018 roku. Dziś, droga Czytelniczko i drogi Czytelniku, trzymasz w rękach drugą część *Życia stewardesy*. Przebrniesz przez wiele rozdziałów, przygód i zawirowań, które podyktowało mi życie w ostatnim czasie. Dzięki pracy w powietrzu odkryłam w sobie wolność, która popchnęła mnie do wielu wyrzeczeń dla rzeczy ważniejszych w życiu. Ostatnie lata były dla mnie jak lądowanie awaryjne. I to niejedno! Bo co robi personel, gdy zapowiada się twarde przyziemienie? Przyjmuje pozycję bezpieczną, by zminimalizować ewentualne obrażenia. Gdy samolot ma lądować na wodzie, załoga zakłada kamizelki ratunkowe. Personel nie wchodzi na pokład spanikowany, nie rozmyśla, czy samolot spadnie, nie boi

się katastrof ani turbulencji. Taką samą postawę przyjąłem w życiu. Bo życie stewardesy to nie tylko starty, lądowania, sytuacje z pasażerami czy podróże. To także rzeczy przyziemne, dylematy, nieprzespane noce, samotność, rozchwianie. To rutyna, która pojawia się też w tej pracy. Wielu pracowników linii lotniczych zaczyna karierę w wieku dwudziestu kilku lat, a czasem nawet wcześniej, jak było w moim przypadku. Wkraczamy w ten hermetyczny lotniczy świat z wyobrażeniami wyniesionymi z reklam, mediów czy ze spotkań rekrutacyjnych. Wydaje nam się, że latanie to nieustanne podróżowanie, imprezy, bilety za grosze i beztrudna egzystencja. Dziś w Paryżu, za kilka dni w Rzymie, a w kolejnym tygodniu w Tokio. Sporo osób nagle zmienia środowisko, przeprowadza się do innego państwa. Są singlami, spragnionymi nowych wrażeń, ekscytacji, poznawania nowych miejsc, ludzi i możliwości. Pierwszy grafik, drugi grafik, każdego dnia inna załoga, składająca się często z osób z różnych zakątków świata. W każdej linii lotniczej jest oczywiście inaczej, różnice są widoczne w siatce połączeń, we flocie, w procedurach, zarobkach czy nawet w charakterze samej pracy. Jest jednak coś, co łączy wszystkich pracowników załogi niezależnie od linii lotniczych. To rutyna, którą można zauważyć, gdy mamy za sobą setki lotów, z czego kilka lub kilkanaście z rzędu do tych samych miejsc, i gdy trzeba po raz tysięczny rozdać pasażerom jedzenie. Ta rutyna to także samotne pobudki z pustą poduszką obok albo z przypadkową osobą, o której chciałoby się szybko zapomnieć; to nieraz związki na odległość, brak rodziny, stabilności i znajomi ograniczający się do świata lotniczego, których zresztą nie zawsze można spotkać, bo mają loty o innych porach. To rozregulowany organizm, a czasem postępujące choroby. Chociaż niejednen z pracowników linii lotniczych przyrzeka sobie, że to już koniec, to naprawdę trudno od tego odejść.

Niby pragniemy normalności, ale w głębi duszy czujemy, że to jednak nie dla nas. Wydaje się, że lepiej byłoby pracować w miej-

Życie stewardesy. Historia pewnej przyjaźni

scu pozbawionym turbulencji, w godzinach pozwalających przespiać noce, jednak gdy o tym pomyślimy, robi nam się słabo. Nie wyobrażamy sobie życia w szarej codzienności. Oczywiście wszystko zależy od miejsca, w którym człowiek się znajduje — w moim przypadku mowa o Bliskim Wschodzie, gdzie właściwie nie płaci się podatków i żyje beztrudnie, często ze współlokatorami, którzy stają się rodziną. Dla mnie ta rutyna wcale nie oznacza braku satysfakcji z pracy. Nie umiem sobie wyobrazić, że mogłabym pracować gdzieś indziej, na przykład w biurze. Miewałam oczywiście gorsze chwile, jednak nigdy nie przeszłam mi przez głowę myśl o rezygnacji z tego zawodu, choć wiem, że praca na stanowisku stewardesy ma swój kres. Życie na ziemi szybko mnie nuży, czuję nieodpartą potrzebę, by znów wzbić się w powietrze. Kiedy zaczynałam pracę w liniach lotniczych, ktoś mi powiedział, że tak będzie. Dziś wiem to z własnego doświadczenia. Przez ostatnie lata dojrzałam i moje nastawienie do życia jest już inne, ale z całą pewnością wiem jedno — nie zmienia się tylko ten, kto stoi w miejscu.





Retrospekcja

W

moim grafiku widniał napis: Bangkok. Dwudziestoczworgodzinny pobyt w Tajlandii, zakupy, masaż, szybki odpoczynek i powrót do bazy. Pracy na tym rejsie było mnóstwo. Wbrew pozorom to nie Europejczycy najbardziej dają załodze w kość, ale pasażerowie narodowości irańskiej oraz ci z Arabii Saudyjskiej. Piją i palą na umór, gorzej niż niejeden podróżny z Rosji, bo to z nimi przeważnie bywają problemy, jeśli chodzi o spożywanie alkoholu na pokładzie. Jeden z pasażerów urządził awanturę, bo w menu zabrakło kurczaka. Linie lotnicze zamawiają różne rodzaje dań w odpowiednich proporcjach, w zależności od kierunku lotu. Niekiedy przewidują dania mięsne, innym razem wegetariańskie, ale nigdy nie ma tyle samo dań z kurczakiem, z warzywami czy z rybą, co liczba pasażerów. Każdy dostanie posiłek, ale nie każdy to samo. Jeśli ktoś ma specjalną dietę albo preferencje, linia umożliwia zamówienia takiego posiłku online. Niestety, rozmowa z pijanym nigdy nie prowadzi do dobrego. W takim wypadku zawsze zostawiam na stoliku kartkę i długopis, żeby pasażer mógł napisać skargę. Tym razem zrobiłam dokładnie tak samo. Jak to możliwe, że niektórzy ludzie mają siłę pić już od porannych godzin? Ostatniej nocy w ogóle nie spałam, więc oczy same mi się zamykały. Szefowa pokładu wyznaczyła mi niefortunne miejsce —

Życie stewardesy. Historia pewnej przyjaźni

pasażerowie siedzieli naprzeciwko mnie, spoglądając na moje próby niezaśnięcia z politowaniem. Czasem oczywiście zdarza się, że sen wygrywa i ktoś z załogi utnie sobie drzemkę, gdy samolot znajduje się na ostatniej prostej i zaraz ma przyziemić. Takie rzeczy są surowo zabronione, ale stewardesa to też człowiek.

Chciałam jak najszybciej wrócić do swojego służbowego mieszkania w Omanie. Miałam niedużo czasu na odpoczynek i pakowanie, bo dwanaście godzin później leciałam do Indii, by zobaczyć się z Pooją — dziewczyną, którą poznałam kilka lat temu w slumsach.

Nasza historia zaczęła się w 2016 roku, podczas mojego służbowego pobytu w Mumbaju. Indie nigdy wcześniej mnie nie fascynowały, nie znajdowały się też na liście moich podróżniczych marzeń. Jako nastolatka oglądałam jednak bardzo dużo filmów dokumentalnych o tym kraju i o poziomie życia ludzi



Pooja w slumsach, w swoim miejscu zamieszkania



w slumsach. Widziałam też brytyjski film *Slumdog. Milioner z ulicy*. Zastanawiałam się wtedy, jak ludzie mogą żyć w tak złych warunkach. Postanowiłam, że jeśli pewnego dnia tam polecę, to zobaczę na własne oczy ten świat. I tak się stało. Teraz, po przybyciu do mumbajskiego hotelu, przebrałam się, wzięłam aparat fotograficzny i poszłam zwiedzać miasto w asyście lokalnego taksówkarza, by było bezpieczniej. Nie musiałam szukać slumsów, bo one są wszędzie, poczynawszy od najbliższych okolic lotniska. Dzielnica nędzy w Mumbaju jest jedną z największych takich na świecie. To, co widziałam w filmach dokumentalnych, w rzeczywistości wyglądało jeszcze gorzej, bo obrazom towarzyszyły smród ścieków, błoto i skwar. Obserwowałam życie ludzi, różniące się diametralnie od tego w Europie, i fotografowałam. W pewnym momencie zobaczyłam dziewczynę o niebieskich oczach.

Te oczy przykuły moją uwagę. Piękne, długie hebanowe włosy, ciemna karnacja, drobna postura i turkusowe tęczęwki. Nie jest to typowy kolor oczu Indusów. Wynika on z choroby zwanej syndromem Waardenburga, objawiającym się najczęściej białymi zmianami na skórze, białymi pasmami włosów oraz właśnie jasnoniebieskimi tęczęwkami — o czym dowiedziałam się później.

Podeszłam do niej, próbując nawiązać kontakt, ale ona tylko się uśmiechała. Jej ojciec, który siedział obok, dał mi do zrozumienia, że dziewczyna nie mówi i nie słyszy. Syndrom Waardenburga bowiem, oprócz widocznych cech, powoduje także niedosłuch lub całkowitą głuchotę. Próbowałam sobie wyobrazić, jak takiej osobie musi być ciężko w tym środowisku. Przez następne tygodnie nie mogłam się uwolnić od myśli o tej Indusce. Kiedy po kilku miesiącach wypadł mi kolejny służbowy pobyt w Mumbaju, spróbowałam ją odnaleźć. Nie było to łatwe, bo nie pamiętałam, gdzie dokładnie mieszkała, wszystkie te prowizoryczne domki wyglądają tak samo. Na szczęście

miałam zrobione poprzednio zdjęcia i dzięki temu udało mi się zlokalizować rejon, w którym mieszkała Pooja. Tak zaczęła się nasza przyjaźń.

Cieszyłam się, bo w końcu dostałam wizę wielokrotnego wjazdu do Indii na sześć miesięcy. Wcześniej, gdy o nią aplikowałam, ambasada z niewiadomych przyczyn za każdym razem przydzielała mi jednorazową. Nie było w tym żadnej logiki. Tłumaczyłam, że przylatuję tu nawet kilka razy w miesiącu, dlatego wnioskowanie za każdym razem o wstęp jest uciążliwe. Poza tym, żeby wyrobić taką wizę, musiałam zostawiać paszport w ambasadzie na kilka dni, a przecież bez niego nie mogłam pracować. Po wielu wyjaśnieniach udało mi się wyegzekwować możliwość zostawiania i odbierania paszportu tego samego dnia. Czułam się, jakbym aplikowała o pozwolenie na widzenie z prezydentem, a nie o wizę turystyczną. W dodatku często bywałam w Indiach i nie wyobrażałam sobie płacić czterystu złotych za każdą kolejną wizę.

Wylądowałam w Mumbaju nad ranem. Smog okrywał miasto niczym szata. Ludzie spali nie tylko w domach, ale też na ulicach, przykryci po same głowy wypłowiałymi, zakurzonymi kocami. Jadąc tuk-tukiem, mijałam zarówno pojedyncze osoby, śpiące w poprzek na chodnikach, jak i całe rodziny. Kiedy byłam tu po raz pierwszy, doznałam szoku. Potem ten widok był częścią mojej rutyny. Pocięczałam się, że Pooja ma przynajmniej dach nad głową, że nie śpi pod gołym niebem, jak mnóstwo ludzi w Indiach, pomimo że mieszka w slumsach, w pomieszczeniu przypominającym piwnicę.

Była może szósta rano. Nie chciałam jej budzić, więc zatrzymałam się u znajomych i pojechałam do niej po południu. Weszłam do domu Pooji i przywitałam się z nią, ale nie wyglądała na radosną jak zawsze. Była obolała, co wzbudziło we mnie niepokój. Zapytałam, co się stało, ale ona siedziała cicho ze spuszczoną głową. Wreszcie podciągnęła rękawy, którymi zakrywała posiniaczone

ręce, a potem odsłoniła plecy, całe w kolorze purpurowym. Poskarżyła mi się, że poprzedniego dnia pobił ją ojciec. W przypiływie silnych emocji nawrzeszczałam na niego. Zadzwoiłam do Rayaana, chłopaka, który pomagał mi w sprawach związanych z Pooją, by przyjechał jak najszybciej. Bariera językowa stanowiła mój główny problem. Dowiedziałam się jednak, że do awantury doszło, gdy Pooja sprzeciwiła się ojcu, który kazał jej siedzieć w domu, prac, gotować i sprzątać. Nie pierwszy raz posunął się do emocjonalnego szantażu wobec niej. Wcześniej karał ją i demotywował, gdy chciała pójść do szkoły, powtarzając, że nauczyciele są głupi, a przecież ktoś musi zostać i zadbać o dom. W indyjskich slumsach edukacja nie jest priorytetem, więc nawet jeśli rząd w Indiach umożliwi dzieciom z biednych rodzin korzystanie ze szkół publicznych, to i tak wiele z nich nie będzie do niej uczęszczać, gdyż rodzice też nie mieli wzorców, aby się kształcić.

Byłam z Pooji bardzo dumna, bo pomimo że nie mówiła i nie słyszała, pomimo że żyła w społeczeństwie zdominowanym przez mężczyzn, nie dawała sobie wchodzić na głowę. W najniższej klasie społecznej kobiety są poniewierane i nie mają poczucia własnej godności. Z pewnością silny charakter Pooji

pomagał jej przetrwać w takim środowisku, jednak niekiedy musiała za swój opór słono płacić. Czułam przygniatającą bezradność, że po tylu staraniach ojciec po prostu niszczył jej szansę na lepszą przyszłość. Mało tego, gdy kilka miesięcy wcześniej pierwszy raz miałyśmy spotkanie w szkole dla niesłyszących, pedagog (dyrektorka szkoły), po zdiagnozowaniu Pooji i określeniu poziomu jej



Siniaki na ciele Pooji

wiedzy, oznajmiła mi, że w przeszłości dziewczyna była molestowana przez ojca. To mną wstrząsnęło DO GŁĘBI.

Zostałyśmy z tymi problemami zupełnie same, bo na skorumpowaną policję w Indiach nie można liczyć. Szkoła też już nie ingerowała w sytuację Pooji, po tym jak przestała tam chodzić z winy ojca. Sfotografowałam siniaki na jej ciele, żeby w razie czego mieć dowód na przyszłość, i poszliśmy na obiad do restauracji.

Po drodze wszystko we mnie pękło, łzy lały mi się strumieniami. Pooja próbowała mnie pocieszać, ale świadomość, że powinno być na odwrót, że to ja powinnam jej dać komfort, że wszystko będzie dobrze, przygniatała mnie jeszcze bardziej.

Pewnie zastanawiasz się, jak porozumiewam się z kimś, kto nie słyszy, nie mówi, nie zna języka migowego, kto nie czyta i nie pisze w żadnym języku? Znalazłyśmy różne sposoby. Używałyśmy emotikonów w telefonie, obrazków, mowy ciała, opracowałyśmy nasz własny język. Komunikacja z biegiem czasu stawała się coraz lepsza. Nie widziałam jednak żadnych prognoz na jej lepsze jutro w Indiach. Zaangażowałam się nie tylko w pomoc materialną dla niej, zapewnienie jej edukacji, ubrań czy jedzenia, ale przede wszystkim ta dziewczyna stała się częścią mojego życia. To nie był jednorazowy przyłot, nie pojawiałam się na chwilę jako wolontariusz, który wkrótce miał zniknąć, by zająć się innymi ludźmi. Zupełnie przypadkowo nawiązałam relację z drugim człowiekiem, z innego krańca globu. Jesteśmy dwiema kobietami z dwóch różnych światów. Za każdym razem, gdy przylatywałam, byłyśmy żyte coraz bardziej. Pooja nigdy nie prosiła o pieniądze, nie wykorzystywała tego, że je mam, nie żebrała, co jest normą na ulicach Mumbaju. Widziałam, że moja obecność, troska i pewność, że ktoś o niej myśli, po prostu sprawiają jej radość, a ponadto są dla niej wsparciem. Oddzielenie Pooji od toksycznego środowiska, w którym żyła, byłoby najlepszym rozwiązaniem. Tak myślałam w tamtym momencie, będąc samej dwudziestokilkuletnią, bardzo młodą dziewczyną, która chciała



dla tej drugiej kobiety jak najlepiej. Biorąc pod uwagę moją inną, europejską mentalność, wyrwanie jej ze slumsów wydawało mi się czymś oczywistym i słusznym. Myślałyśmy o szkole z internatem, ale nikt nie chciał jej tam przyjąć, ponieważ przekroczyła próg wiekowy. Zrobiłam dla niej w Indiach tyle, ile byłam w stanie, oczywiście z pomocą internautów obserwujących moje media społecznościowe, którzy wspierali zbiórki pieniędzy.

Pokazywałam Pooji zdjęcia Polski, spoglądała na nie z zaciekawieniem. Pewnie się domyślasz, co mi chodziło po głowie. Postanowiłam o nią zaważać raz jeszcze. Dziewczyna była pełnoletnia, to ułatwiało wiele rzeczy, nawet pomimo przeszkód, które stały nam na drodze. Chciałam ją stamtąd zabrać, ale jednocześnie zdawałam sobie sprawę z tego, że Pooja nigdy nigdzie nie była, więc nawet gdy wyraziła chęć, by ze mną polecieć, nie wiedziała przecież, dokąd bym ją zabrała. Polska była dla niej jedynie wyobrażeniem, fantazją ze zdjęć i map Google. Kiedy ją zapytałam, czy chciałaby ze mną polecieć, złożyła ręce, otwierając je po chwili, i tak kilkakrotnie. Ten gest oznaczał paszport. Wiedziała, że trzeba go mieć, żeby lecieć wielkim metalowym ptakiem, który często pojawiał się na mumbajskim niebie. Kwestia paszportu dla niej była dużym problemem. Nie wiedziałam, jak to załatwić, jakie obowiązują procedury w Indiach. No i co miałabym powiedzieć jej ojcu?

Wykonałam w tej sprawie mnóstwo telefonów do znajomych. Okazało się, że jeśli Pooja ma wymagane dokumenty — akt urodzenia, kartę potwierdzającą tożsamość i dokument poświadczający jej miejsce zamieszkania — to jest to możliwe, bo koniec końców jest obywatelką Indii. Posiadanie tych dokumentów wcale nie jest oczywiste, ponieważ wielu ludzi mieszkających na ulicach, w slumsach, nie ma żadnego potwierdzenia, że w ogóle istnieje.

Wpadliśmy z Rayaanem na pomysł, by powiedzieć jej ojcu, że chcę ją zabrać na wakacje do Polski. Aby nie był zbyt podejrz-



liwy, oznajmił mi, że będzie mógł polecieć z nami. Tylko w ten sposób mogliśmy go przekonać do wyrobienia córce paszportu. W Pooji widział tylko sprzątaczkę, a we mnie — korzyści materialne.

Po wyjściu z restauracji spotkałyśmy się z Rayaanem. Podobnie jak ja czuł się zrezygnowany i sfrustrowany, bo nasze starania, by pomóc Pooji, niweczył jej ojciec. Byłam jednak zdeterminowana. W końcu nikt mi nie kazał latać do Indii, robiłam to z własnej woli, bo tak po prostu czułam. Jej ojciec powiedział mi kiedyś, że Pooja kilkakrotnie próbowała targnąć się na swoje życie i zdrowie, między innymi pijąc płyn do mycia naczyń. To był również jeden z powodów, dla których podjęłam decyzję o pomocy. Wiedziałam, że gdy odpuszczę, ta dziewczyna pewnego dnia naprawdę może sobie coś zrobić albo nawet się zabić. Skoro pojawiałam się w jej życiu, skoro jestem kobietą niezależną, mającą pojęcie o wielu zagrożeniach, skoro postanowiłam ją wspierać i poprawić jej egzystencję, nagłe odcięcie się byłoby niemoralne i okrutne. Pooja żyła bardzo blisko innych ludzi, ale w rzeczywistości była osamotniona, pozostawiona samej sobie ze wszystkimi problemami. Nie mówiła, nie słyszała, straciła dwie siostry, które zmarły na gruźlicę, chłopak, w którym się zakochała, wpadał tylko na chwilę, a na co dzień doświadczała przemocy ze strony swojego ojca.

Musiałam zrobić wszystko, żeby ją stamtąd wyciągnąć. Dyrektorka szkoły, do której chodziła Pooja, powiedziała mi, że takie młode dziewczyny łatwo stają się ofiarami gwałtów czy nawet są sprzedawane do agencji towarzyskich. To wszystko tkwiło w mojej głowie. Nie wiedziałam, że przede mną jeszcze długi thriller, w którym miałam odegrać główną rolę.





Trudne decyzje

P

raca na stanowisku stewardesy w Omanie przynosiła mi dużo satysfakcji i sukcesów zawodowych, ale nie tylko. Czułam się naprawdę szczęśliwa, mieszkając w Maskacie. W połowie 2017 roku dowiedziałyśmy się z dziewczynami z mojej grupy, że przed nami awans do klasy biznesowej w szerokokadłubowych samolotach. Nie zwalniałam! Żyłam na pełnych obrotach, podpisałam kontrakt na wydanie mojej pierwszej książki i przedłużono mi umowę z linią lotniczą (podpisuję ją co dwa lata). Gdy wpisano mnie na nocny rejs do Pakistanu, zamiast spać, by wypocząć przed lotem, pracowałam nad kolejnym rozdziałem pierwszego tomu *Życia stewardesy*. Walizki mi się nie zamykały.

Miałam w grafiku dużo rejsów, dużo pracy na komputerze, a pomiędzy nimi latałam do Mumbaiu i do Polski, gdzie robiłam licencję lotniczą i odbywałam loty praktyczne. Nauka w takim trybie nie była prosta, a skomplikowała się jeszcze bardziej, gdy sytuacja Pooji się pogorszyła. Ciężko było się skupić tylko na licencji. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że pewne rzeczy mnie przerastały, ale wiedziałam, co uznać za priorytet.

We wrześniu dostałam urlop i poleciałam do Warszawy. Miałam zaplanowane loty z instruktorem, wydawnictwo zorganizowało sesję zdjęciową na okładkę książki i miałam się spotkać



z pewnym Indusem w związku z formalnościami w Mumbaju. Przed wylotem do Polski na jednym z portali społecznościowych szukałam grup, których członkami byli mieszkańcy Indii żyjący w naszym kraju. Potrzebowałam informacji, jakie warunki należało spełniać, aby dostać wizę i pozwolenie na pobyt w Polsce. Nawiązałam kontakt z Kabirem, mieszkającym w podwarszawskim Legionowie. Opowiedziałam mu historię o dziewczynie ze slumsów. Kabir dał mi numer do polskiego prawnika i do kilku osób w Indiach, które miały mi pomóc z wyrobieniem dla niej paszportu. Na tym jednak nie koniec. Musiałam podjąć najważniejszą decyzję. Jeśli Pooja ma się pojawić w Polsce, będąc musiała zrezygnować z pracy w Omanie. Konieczne było znalezienie zatrudnienia w kraju. Akurat trwał nabór do polskich linii lotniczych, postanowiłam więc aplikować. Nie miałam pewności, czy dostanę tam pracę, ze względu na udzielanie się w mediach — prowadzę bloga o tematyce lotniczej na jednym z portali społecznościowych. Moja strona Życie Stewardesy była dość dobrze kojarzona wśród polskich pracowników naszej branży, ale nie tylko przez nich. W tamtym czasie obserwowało mnie ponad sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi. W dodatku było to kilka miesięcy przed premierą mojej pierwszej książki. Miałam wątpliwości, czy firma będzie chciała nawiązać współpracę z kimś, kto jest rozpoznawalny. Ku mojemu zaskoczeniu, po kilku dniach od wysłania zgłoszenia, dostałam jednak pozytywną odpowiedź i zaproszono mnie na rozmowę.

W biurowcu, gdzie odbywała się rekrutacja, nie było wielu kandydatów — może siedemdziesiąt osób. Kiedy tam weszłam, wszystkie spojrzenia skierowały się na mnie, a kilka dziewczyn do mnie podeszło, by oznajmić mi, że obserwują mojego bloga. Prosiły o porady, jak się zachować, żeby najlepiej wypaść. Przyznam, że było to miłe, ale trochę krępujące. Wiele osób wyobraża sobie, że skoro piszę w mediach o tym zawodzie,



to wiem, jak przejść rekrutację. Ale pisanie bloga nie oznacza przecież, że jestem najlepsza. Pracuję jak każda inna stewardesa, tyle że dzielę się swoim zawodowym doświadczeniem w cyberprzestrzeni. Przeszłam wprawdzie przez wiele rekrutacji, ale mam za sobą też te nieudane.

Rekrutacja składała się z kilku etapów. Najpierw była rozmowa po polsku i po angielsku, praca w grupach, gdzie każdy otrzymał do wykonania zadania typu: „wyjaśnij, jak zareagowałbyś, gdyby pasażerowi nie smakował posiłek albo gdyby narzekał na nieprzyjemny zapach współpasażera?”, a potem scenki sytuacyjne do odegrania. W ciągu kilku następnych dni dostałam bardzo dużo wiadomości na skrzynkę pocztową bloga. Pisały do mnie stewardesy z różnych linii lotniczych, w tym głównie z polskich, pytając, czy naprawdę się przenoszę, bo chodzą takie słuchy. Wtedy nie wspomniałam jeszcze publicznie, że mam taki zamiar, bo nie wiedziałam, czy mnie przyjmą. Nowinki i plotki rozchodzą się w branży lotniczej z prędkością światła. Narobiło się sporo zamieszania, że Kuczyńska chce zmienić linię. Ale ja skupiałam się wtedy na innych rzeczach. Urlop mijał szybko i nie wiedziałam, w co włożyć ręce, bo po powrocie miałam w grafiku lot do Szwajcarii, a potem musiałam polecieć do Indii. Inne rzeczy zeszyły na drugi plan, w tym robienie licencji na pilota turystycznego małych samolotów.

Dodam tylko, że nigdy nie marzyłam, żeby pracować w Polsce. Po tylu latach pracy za granicą wizja powrotu do kraju raczej mnie przerażała. Gdy zaczynałam latać, rozważałam powrót ze względu na związek i rodzinę, ale z każdym rokiem spędzonym za granicą coraz trudniej było mi to sobie wyobrazić. Mój narzeczony nigdy nie krytykował moich wyborów, choć decyzja o pracy w Polsce była dla niego niemałym zaskoczeniem. Uzgodniliśmy, że wynajmiemy mieszkanie i pomożemy Pooji wspólnie. Wiedział, jak bardzo byłam zaangażowana w jej sytuację życiową i że ona sama nie może tu przylecieć,

a tym bardziej ja nie mogłam zabrać jej do Omanu. Miałam tam mieszkanie zapewnione przez pracodawcę, kontrakt był przedłużany co dwa lata, ale nigdy nie było gwarancji, że tak się stanie. Biorąc odpowiedzialność za Pooję, musiałam dokładnie przeanalizować, co byłoby najrozsądniejsze dla niemówiącej i niesłyszącej dziewczyny bez żadnego wykształcenia.

Miałam sporo do stracenia — przede wszystkim pracę, którą kochałam. Ale nie mogłabym żyć spokojnie ze świadomością, że zostawiłam kogoś, kto tyle dla mnie znaczył. Życie nas sprawdza wtedy, gdy jest cholernie ciężko.

Po powrocie z urlopu dostałam e-maila z pozytywnym wynikiem rekrutacji i datami szkoleń. Mogłam przejść do polskich linii lotniczych. Pozostał jeszcze miesięczny okres wypowiedzenia w Omanie. Ale wcześniej czekał mnie lot do Zurychu. Chyba nigdy nie szłam do pracy z głową tak przeciążoną myślami — to zresztą nie jest dobre w mojej pracy. Na szkoleniach powtarzają, że należy zostawiać swoje problemy w domu, bo w sytuacji awaryjnej będziemy bezużyteczni — łatwo wtedy pominąć procedury, będąc zdezorientowanym. Załoga dostrzegła, że coś mnie trapi. Na szczęście byli wyrozumiali, wielu z nich wiedziało o sytuacji Pooji i mojej, bo wielokrotnie organizowałam zbiórki na naszej facebookowej grupie. Zawsze mogłam liczyć na ich wsparcie. Mieszkająca w Indiach Jasmine, koleżanka z pracy, której powiedziałam o rezygnacji i powodzie, nie kryła zdumienia:

— Pierwszy raz w życiu słyszę, żeby ktoś rezygnował z pracy dla kogoś obcego. Powiedziałałabym, że zwariowałaś, ale wiem, że robisz dla mojego kraju więcej niż większość żyjących tu ludzi. To my, mieszkańcy Indii, powinniśmy zadbać o współobywateli. Daj mi znać, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

Powiedziała to osoba, która doskonale wiedziała, przez co przechodzę. Sama adoptowała dziecko, które, podobnie



jak Pooja, doświadczyło przemocy ze strony swojego ojca, pracującego u Jasmine jako pomoc domowa. Zabierał ze sobą kilkuletnią córkę, której często „zapominał” potem wziąć do domu, więc dziewczynka zostawała u Jasmine na noc. Mężczyzna miał poważny problem alkoholowy, więc moja koleżanka była zmuszona go zwolnić, a dziecko zostało u niej w domu już na stałe.

Nie chciałam wyjaśniać ludziom zbyt wiele. Wiedziałam, że trudno to pojąć komuś, kto nie doświadczył czegoś podobnego, choć doceniałam zainteresowanie ze strony znajomych i przyjaciół. W tym czasie poznałam też Anię. Jej numer dostałam od Kabira. Ania z wykształcenia jest prawnikiem i na co dzień zajmuje się różnymi sprawami związanymi z obcokrajowcami, którzy chcą studiować lub pracować na terenie Polski. Gdy do niej napisałam, nie od razu wyłożyłam, co mnie sprowadza. Dopiero po jej pierwszej odpowiedzi, na którą kazała mi trochę czekać, spróbowałam streścić historię z Pooją. Przeszliśmy z konwersacji pisemnej do werbalnej — sama do mnie zadzwoniła.

— Hej! Przepraszam, że musiałaś czekać. Myślałam, że pisze do mnie kolejna sfrustrowana kobieta z prośbą o radę w kwestiach miłosnych, jak uzyskać wizę dla jej chłopaka z Egiptu. Pomogę ci z wielką przyjemnością za darmo, nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z czymś takim, historia tej dziewczyny jest wyjątkowa.

Ania wyjaśniła mi w detalach, co jest niezbędne do procesu wizowego i jak to wszystko powinno przebiegać. Plan był taki, że Pooja najpierw miała przylecieć na wizie turystycznej, a potem mogłybyśmy się starać o zgodę na stały pobyt, którą musiał wyrazić też konsul w Indiach. Najistotniejszą kwestią było jednak wyrobienie paszportu dla Pooji. Dzięki Ani byłam spokojniejsza, miałam poczucie, że mogę na kogoś liczyć w kwestiach formalnych.

Pobyt w Zurychu zleciał mi bardzo szybko. Jeśli nie trwa on dłużej niż dobę, przeważnie



nawet nie czuję, kiedy nastaje nowy dzień. Podczas powrotu nie zabrakło wrażeń. Przed startem załoga została poinformowana przez kapitana, że wcześniej w tym konkretnym samolocie doszło do dekompresji i przypomniano nam, byśmy zwrócili szczególną uwagę na okna i uszczelki przy drzwiach. Dekompresja może się zdarzyć, gdy wystąpi rozszczelnienie kabiny z powodu pęknięć w oknach, gdy drzwi nie są szczelne, lub na skutek na przykład eksplozji. Jeśli ciśnienie w kabinie gwałtownie spadnie, to przeważnie pierwszym oczywistym znakiem dekompresji będzie wypadnięcie masek tlenowych ze schowków znajdujących się nad głowami. Po każdym incydencie czy wypadku firma wysłała informację do personelu pokładowego i pilotów o tym, co się wydarzyło i co zostało zrobione. Są to raporty mające na celu zapobieganie podobnym sytuacjom w przyszłości i przypominające, by załoga zawsze była czujna przed odlotem.

Po powrocie do bazy poczułam wibrację telefonu. Na wyświetlaczu ukazał się polski numer. Okazało się, że to sekretariat polskich linii lotniczych. Kobieta po drugiej stronie dość agresywnym tonem kazała mi potwierdzić e-mailowo szkolenie, które miało się rozpocząć za dwa tygodnie. Oczywiście nie mogłam tego zrobić, nawet nie złożyłam jeszcze wypowiedzenia. Wreszcie zaproponowała inną datę i rozłączyła się.

Noc poprzedzająca wizytę w biurze omańskiego przewoźnika była bezsenna. Przed oczami przelatywały mi obrazy przepięknych miejsc, które odwiedziłam dzięki tej firmie, i twarze cudownych ludzi, których tu poznałam. Gdyby nie ta linia lotnicza, pewnie nie spotkałabym Pooji. Kilkanaście minut zajęło mi zebranie się w sobie, zanim przestąpiłam próg biura omańskiego przewoźnika. Żaden z moich przełożonych nie spodziewał się, że ujrzy mnie z formularzem rezygnacyjnym w rękę. Gdy powiedziałam mojemu kierownikowi Khamisowi, że odchodzę, oczy prawie wyszły mu z orbit. Po wysłuchaniu historii o Pooji był tak przejęty, że nie chciał przyjąć mojej rezygnacji



i wysłał mnie do głównej menedżerki. Kiedy usiadłam przy jej biurku, lzy zaczęły mi kapać z oczu na formularz. Musiałam opowiedzieć swoją historię od nowa, a to wzbudziło we mnie skrajne emocje. Menedżerka była bardzo poruszona historią dziewczyny ze slumsów, ale okazała mi ogromne wsparcie. Powiedziała, żebym się nie martwiła, że drzwi firmy będą zawsze dla mnie otwarte.

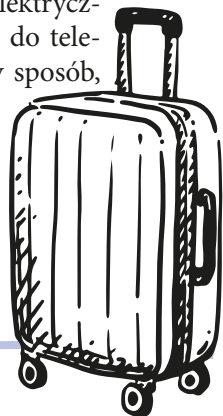
Gdy wyszłam z biura, poczułam się, jakby kamień spadł mi z serca, ale równocześnie ogarnęła mnie fala melancholii. W Omanie zostawiałam część siebie, dosłownie i w przenośni. Został mi miesiąc pracy w tej firmie: ostatni grafik i ostatnie loty. Przed odejściem dostaje się więcej rejsów niż zazwyczaj. Śmiałyśmy się z koleżankami, że chcą, żeby na odchodne zebrać jeszcze miłe wspomnienia. Musiałam jeszcze polecieć do Mumbaju, by zacząć załatwiać formalności związane z paszportem Pooji. Poprosiłam o kilka dni wolnego z „banku urlopowego”. Początkowo mi odmówiono, w liniach lotniczych są bowiem ustalone terminy, w których można aplikować o urlop. Oprócz tego przysługują też dni na żądanie, ale tylko trzy. Ze względu na mój ostatni miesiąc pracy tym razem machnięto na to ręką i pominięto procedury.

Umawiałam się na kolejne spotkania w Mumbaju z polecenymi przez Kabira ludźmi, którzy mieli mi pomóc w skompletowaniu niezbędnych dokumentów i zarezerwować Pooji termin w biurze paszportowym. Październik 2017 roku, ostatni miesiąc w Omanie, wspominam jako jeden z najbardziej napiętych, jeśli chodzi o liczbę spraw do załatwienia przed opuszczeniem firmy. Wiele rzeczy nakładało się na siebie: loty, pisanie książki, formalności i moje sprawy rezygnacyjne. Spakowałam małą podręczną walizkę i wyruszyłam do Mumbaju. Po dwunastu godzinach obowiązków służbowych czułam się jak zombie, a za półtorej godziny miałam się stawić na lotnisku — nie jako załoga, ale pasażer. Zapowiadało się trzydzie-

ści sześć godzin bez snu. Po wylądowaniu w Indiach nie było mowy o odpoczynku. Już kilka godzin po moim przylocie miało się odbyć spotkanie z mężczyzną o imieniu Kryshna, który rzekomo pełnił funkcję pośrednika między petentem a urzędem. Rayaana przekazał ojcu Pooji, by naszykował wszystkie dokumenty swoje i córki. Chcieliśmy, by myślał, że będziemy wyrabiać paszport też dla niego. Ku naszemu zdziwieniu bardzo się tym podekscytował i z odrapanej metalowej szafy wyciągnął plik papierów, gdzie znajdował się między innymi akt urodzenia jego córki.

Myślałam, a raczej miałam nadzieję, że wszystko odbędzie się sprawnie, że pojedziemy do biura paszportowego, ale Kryshna chciał się z nami spotkać w pobliskiej restauracji McDonald's. Korki w Mumbaju w godzinach porannych bywają ogromne, więc na umówione miejsce dotarliśmy po czasie. W restauracji czekało na nas dwóch mężczyzn. Od razu przeszli do rzeczy, pytając, jakie dokumenty ma Pooja. Poinformowali mnie, że umówienie spotkania w biurze paszportowym może zająć do kilku dni od daty dostarczenia dokumentów.

Okazało się jednak, że do przeprowadzenia całej procedury wymagane są jeszcze konto bankowe oraz opłacone rachunki za elektryczność i wodę. Patrzyłam na nich z niedowierzaniem — czy oni naprawdę myślą, że dziewczyna ze slumsów ma rachunki za prąd i konto bankowe?! Wyjaśnili mi jednak, że mieszkańcy murowanych domów w slumsach mają podłączoną elektryczność, za którą są normalnie rozliczani, oraz dostęp do telewizji kablowej. Zużycie wody jest naliczane w inny sposób, ale jest, pomimo że toalety i woda są tam dostępne publicznie. Ostatecznie brakowało nam tylko konta bankowego, ale ci ludzie, którzy byli odpowiedzialni za wszystkie dokumenty, powiedzieli, że są w stanie pomóc w jego założeniu. Spotkanie w biurze paszportowym miało się odbyć najpierw w piątek, po-



tem przełożono je na poniedziałek, a później poinformowano nas, że mamy się stawić w środę. Ojciec Pooji nie był na tyle odpowiedzialny, żeby tam pójść samemu, więc moja obecność okazała się konieczna. Jeszcze tego samego dnia po spotkaniu w McDonalddie musiałam wrócić do Omanu, bo następnego o dwunastej czekał mnie lot służbowy. Wszystko działo się na wariackich papierach. Ledwo opuściłam jeden samolot jako pasażer, by zaraz wsiąść do drugiego, ubrana w strój służbowy.

Kolejna wizyta w Mumbaju wypadła jeszcze w tym samym tygodniu. To była jedyna szansa, by dopiąć wszystkie formalności paszportowe na ostatni guzik. Następnym moim pobyt w Indiach miał być ostatnimi chwilami Pooji przed wylotem do Polski.

Spotkanie w biurze paszportowym w końcu doszło do skutku, ale nie obyło się bez absurdów. Kiedy przekroczyliśmy próg biurowca, poproszono, by Pooja poszła z oficerami na górę, żeby wypełnić jakieś papiery. Przez dwadzieścia minut wyjaśniałam urzędnikom, że Pooja nie słyszy, nie mówi, nie czyta i nie pisze. Może się jedynie podpisać i coś przepisać, ale nie będzie świadoma, co to znaczy. Urzędnicy patrzyli na mnie jak na debila. Normalnie nikt ze slumsów nie wyrabia sobie paszportu ot tak. Doszliśmy wreszcie do porozumienia, że przy podpisywaniu papierów, pobieraniu odcisków palców i kolejnych formalnościach będzie obecny ojciec Pooji jako jej prawny opiekun. Urzędnicy musieli zrobić jej też zdjęcie. Pani w okienku poprosiła dziewczynę, by zdjęła kolorowe soczewki. Powiedziałam jej, że ona nie nosi soczewek, jej oczy są naturalnie niebieskie. Kobieta opuściła swoje stanowisko i nie dowierając, oznajmiła, byśmy nie żartowali, ponieważ na zdjęciu w paszporcie musi być naturalny kolor oczu. Wkurzyłam się. Wyszukałam w smartfonie nazwę syndromu, który został u Pooji zdiagnozowany, i pokazałam urzędnicze, która wciąż z niedowierzaniem kręciła głową. Po raz pierwszy miałam też styczność z korupcją. Kryshna wziął pieniądze za to, że zała-



twił spotkanie — urzędnicy o tym wiedzieli. Łapówki są tam na porządku dziennym.

Pooja miała otrzymać paszport z pieczętką *Emigration Check Required*, świadcząca o tym, że jest osobą niewyedukowaną. Oznacza to, że gdyby chciała się udać w niektóre miejsca na świecie, wymagane byłyby kolejne dokumenty. Indie wprowadziły takie zasady, by zwiększyć bezpieczeństwo obywateli, ponieważ wiele krajów, na przykład na Bliskim Wschodzie, pozyskuje w ten sposób tanią siłę roboczą, między innymi z Indii. Ludzie bez edukacji częściej padają ofiarami wyzysku czy sutenerstwa. Powiedziano nam, że czas oczekiwania na paszport to około trzydziestu dni. Kryshna zastrzegł, bym zostawiła ojcu Pooji trochę rupii, bo kiedy przyjedzie policja, trzeba będzie im je dać, by „zweryfikowali” dane z dokumentów poprawnie. Takiej weryfikacji dokonuje komisariat policji, pod którego jurysdykcją mieści się adres wnioskodawcy. Funkcjonariusz osobiście sprawdza dane wpisane w formularzu, takie jak imię, nazwisko, wiek i adres.

Miałam dosyć wrażeń jak na jeden dzień. Opuszczałam budynek urzędu paszportowego z nadzieją, że wszystko dobrze się potoczy. Pooja pytała mnie, gdzie jest paszport. Wyjaśniłam jej, że to trochę potrwa. Żeby się zozerwać, pojechałyśmy nad morze. Towarzyszyła nam Ria, sąsiadka Pooji. Pogoda wyjątkowo dopisała, nie było za gorąco, więc mogłyśmy siedzieć bez obaw, że słońce nas poparzy. Potem pojechałyśmy do hostelu, gdzie wynajęłam pokój. Zamówiłyśmy pizzę i włączyłam film *Kwiat pustyni*. Pooja oglądała z zaciekawieniem historię somalijskiej dziewczyny, która miała zaledwie 13 lat, kiedy uciekła przed zaaranżowanym małżeństwem z 60-latkim. Widziała w tym pewną analogię do naszej sytuacji, bo Somalijka też miała białą przyjaciółkę, tyle że akcja toczyła się w wielkim mieście. Siedziałyśmy obok siebie przytulo-



Trudne decyzje

ne. Odniosłam wrażenie, jakby to wszystko mi się śniło. Po dwudziestu czterech godzinach spędzonych w Mumbaju uściskałam Pooję z całych sił i obiecałam, że będziemy w kontakcie, a gdy tylko będę mogła, przylecę znowu. I pojechałam na lotnisko.

Rezygnacja z pracy wiązała się z wieloma formalnościami, takimi jak zbieranie podpisów z różnych departamentów firmy odpowiedzialnych za finanse, wizę, mieszkanie służbowe, konta bankowe czy bilety pracownicze. Ostatnim lotem, jaki wykonałam dla omańskich linii lotniczych, był Bangkok. Rejs opóźnił się o kilka dobrych godzin, wobec czego musieliśmy poprosić pasażerów, żeby opuścili samolot. Mogłam więc porobić pamiątkowe zdjęcia z załogą, zjeść z nimi wspólną kolację po tym, jak catering załadował jedzenie na pokład, i pograć w karty. Czułam wtedy głęboką bliskość z tymi ludźmi, którzy tak bardzo postarali się o to, by ostatni dzień w pracy był dla mnie wyjątkowy.

Byłam z siebie dumna, że mieszkając w Omanie, udało mi się nie nagromadzić zbyt wielu przedmiotów. Stewardesy to przeważnie chomiki, mają tyle rzeczy, że w niektórych mieszkaniach ledwo można przejść. Ciuchy, buty, kosmetyki. Całe moje życie spakowałam do walizek w zaledwie dziesięć minut. Współlokatorka Kulthida nie mogła wyjść z podziwu, jak tego dokonałam. Ciężko było mi się z nią rozstać, ale za godzinę musiałam być na lotnisku, by ostatni raz spotkać się z reprezentantem mojej firmy i dostać z powrotem swój paszport. Na kilka dni przed odlotem pracownicy załogi muszą zostawić paszporty w biurze linii lotniczej, a w dniu wylotu zostaje im zwrócony z anulowaną wizą. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że następnego dnia będę w Polsce i po kilku latach spędzonych za granicą po prostu przejdę do codzienności.

